



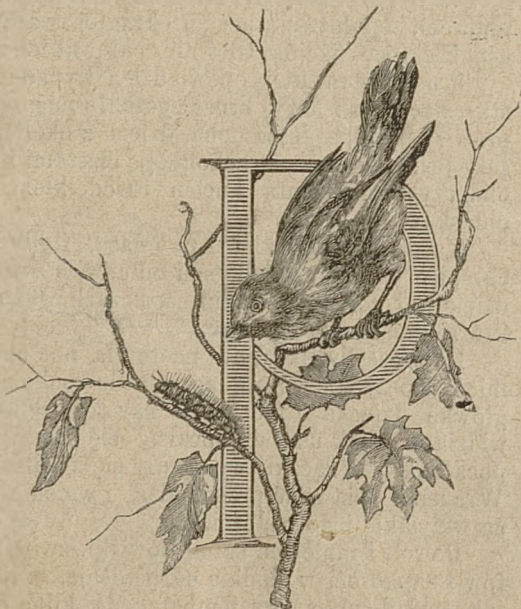
## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi Mazowiecka Nr. 8.

## ROZMOWA Z PTASZKIEM.



owiedz mi, ptaszku — pytało dziecię,  
 Dla czego śpiewasz dzień cały;  
 Czyż tylko w szczęściu płynie ci życie,  
 Powiedz mi, proszę, mój mały?  
 Czy nigdy nie znasz trosk i niedoli,  
 Łezki z twych ocząt nie płyną;  
 Czy cię serduszko nigdy nie boli,  
 Zawsze ci dobrze? ptaszyno!  
 — O dziecię lube! znam ja cierpienie,  
 Czyż bezeń życie być może?  
 Nieraz się z piersi wyrwie westchnienie  
 I serce pęka, o Boże!  
 Lecz kogo ptaszkiem stworzono w świecie,  
 Ten wiecznie śpiewać już musi,

Chociaż tęsknota serduszko gnicie,  
Chociaż kurzawa aż dusi.

To też na rzewną nutę strojony,  
Śpiew mój brzmi nieraz tak smutnie,  
Że gdy w wysokie wystrzeli tony,  
To wtedy boleść go utnie.

Piosenka moja, to są łzy moje,

To moje skargi i żale;

I myśli złote i marzeń roje,

Niemi przed światem się chwale!

O! moje dziecię, śpiewam — bo muszę,

Ja tylko piosnką mą żyję;

A gdy już całą wyśpiewam duszę,

Wtedy mnie rozpacz zabije!

*Helena Bojarska.*

## Historja pączka róży

skreśliła *Zofia Grabkowska.*

(Dokończenie).

Zagadka ta w końcu się rozwiązała. W śliczny słoneczny poranek czerwcowy, gdy wszystko jeszcze spało dokoła i za ledwie Boży śpiewacy się pobudzili, stary ogrodnik w towarzystwie dwóch chłopców stanął przedemną o świcie dnia. Stosując się do jego rozkazów, podnieśli oni ostrożnie skrzynię, w której się znajdowałem i ponieśli mnie na ramionach. Teraz znów nie wiedziałem, co myśleć o tym tryumfalnym pochodzie, kołysałem dumnie głową i rozglądałem się dokoła. Minęliśmy ogród owocowy i przeszedłszy kilka grabowych alei, stanęliśmy przed białym, wesołym domkiem, który ukrywał się wśród kobierców kwiatowych, gałęzi róż i kaprifolium. Ogrodnik wskazał swym towarzyszom okno na końcu domu położone, stąpając na palcach, zbliżyliśmy się wszyscy do niego. To okno było na szczęście przymknięte tylko, jeden z parobków, zwinny jak kot, uchylił białą firankę i bez szmeru je otworzył. Po chwili znalazłem się umieszczony w pokoiku, ślicznym, miluchnym gniazdku, gdzie na każdym kroku znać było kochającą rękę kobiety.

Obejrzałem się dokoła i zobaczyłem na białych jak śnieg poduszkach główkę śpiącego chłopczyka. Z kolei wzrok mój, przenosząc się na rozmaite przedmioty, padł na małe wiszące lustro i dreszcz radości mnie przebiegł. Ujrzałem siebie, jakże byłem piękny! Pień mój, wysoki na jakie cztery lub pięć stóp, cóż za wspaniałą dźwigał na sobie koronę. A ona, ach! czytelniku, zrozumiałem dumę starego ogrodnika, obsypana była cudownymi ciemno-żółtymi kwiatami, których na pół rozwinięte kielichy schylały swe główki ku ziemi. Czuliem, że duma rozsadza mi piersi i że kwiaty moje przybrały ciemniejszą barwę. Zawstydzilem się, bo wszak nie miałem w tém żadnej zasługi, to Bóg, który mi pozwalał żyć i ten, który koło mnie tak troskliwie chodził, byli twórcami tych cudów; bez nich nie byłbym niczém więcej, jak skromnym kwiatem psiej róży.

Z tych rozmyślań wyrwał mnie cichy szept za oknem, podniosłem oczy i zobaczyłem w pewnym oddaleniu skradającego się sędziwego człowieka. Niósł on w rękę ładną klatkę, a w niej parę żółtych ptaszków. Po chwili z innej strony nadsiadł ksiądz proboszcz z obrazkiem świętego patrona. Zobaczywszy się zgromadzeni w takiej ilości, zaczęli się śmiać pocihu.

— Aj! co ten chłopiec wyrabia z nami — rzekł w końcu ksiądz proboszcz, zażywając tabaczkę — o świcie dnia, trzech najstarszych ludzi z całej wioski, pan ekonom, ogrodnik i ja zerwaliśmy się z ciepłych i wygodnych łóżek i chcąc malcowi zrobić przyjemność, chcieliśmy się wszyscy ubiedz. To zgroza, panie dobrodzieju.

— To nie zgroza, to tylko urodziny Olesia — odrzekł z powagą mój opiekun, a dla tego drogiego chłopca chyba nikt nie pożałuje godziny snu i trochę trudu.

— Prawda, że to złoto a nie chłopiec, to ulubieniec całej wioski i niema tu chyba nikogo w Wiązance, co by dla niego w ogień nie wskoczył. Moja żona dziś mi spać nie dała i o północy budziła, bym się nie spóźnił z kanarkami, a sama ład moment ma nadejść z łakociami — rzekł skromnie spuszczaając oczy ekonomom.

Choć rozmawiający starali się głos zniżyć do szepta, szmer jednak rozmowy zbudził chłopczyka. Leniwie otworzył śliczne niebieskie oczki i senny jeszcze rozejrzał się dokoła. Wzrok jego padł naprzód na mnie, później na skrzydlatą parę, a w końcu spoczął na obrazku świętego. Najwyższemu zdumieniu i zachwyt odmalowały się na jego twarzyczce; narażenie znać było, że nie pojął ogromu swego szczęścia i nie wiedział, komu go zawdzięczać. Figlarny wietrzyk dopomógł mu rozwiązać zagadkę i uchylił różek białej firanki. Tak bez tchu w piersiach stali jego trzej przyjaciele, śledząc pilnie wszystkie wrażenia dziecka. Byłby ich może nie zara dojrzał, ale i tabaka księdza proboszcza była znać w zmoiwie z wietrzykiem, bo nagle rozległo się potężne kichanie, a później chóralny śmiech.

Okrzyk radości wyrwał się z piersi dziecka, zrozumiałe wszystko i klaszcząc w ręce radośnie, wołał:

— Mój Boże! jakiś Ty dobry, że pozwoliłeś mi dzisiejszego dnia doczekać, jaki ja szczęśliwy i jacy wy wszyscy jesteście dla mnie poczciwi i kochani.

Że był szczęśliwy, mówiło to jego oczy i każdy rys twarzy, ale i ja byłem szczęśliwy, bo spostrzegłem, że choć z zachwytem patrzył na wszystkie dary, na mnie wzrok jego najdłużej spoczywał. Zamiłowanie do kwiatów w końcu przemogło i rzucając się na szyję starego ogrodnika, wśród łez mówił chłopczyka:

— Czy ja wart jestem takiego skarbu! jakaż ona piękna nic podobnego w życiu nie widziałem.

— Ta róża nazywa się Marszałek Niel, moje dziecko — rzekł wruszony starzec — bądź pewny, że na dziesięć mi w około niema ję podobnej.

— Och! nie zerwę z niej ani jednego kwiatu, będę ją strzegł, jak oka w głowie, będę...

Lecz tu słowa jego przerwane zostały nowemi darami i życzeniami. Żona ekonomy przybyła z obietnicami łakociami i chciała na własne oczy widzieć, jak panicz będzie jadł jej pierniczki. Oparł się temu stanowczo proboszcz.

— Chcesz pani dziecko nabawić choroby, że go karmisz słodyczami od samego rana — gromił ją surowo.

Na tę przerażającą myśl, biedna kobiecina wybuchnęła płaczem, łzy lały się po jej okrągłej twarzy potokiem, i nie uspokoiła się, aż póki Oles nie zcałował ich swemi usteczkami.

Trudnoby mi było opowiedzieć wypadki tego dnia, wszystkie życzenia i dary, które spotkały mego pana. Mama wyprawiała bal dla pieszczocha, dzieci z okolicy się zjechały, bysuty podwieczorek z czekoladą, ciastami i cukrami. Ojciec obdarzył solenizanta kucem i siodełkiem, a młody gajow obłaskawioną sarną.

Każdy tam coś złożył na ofiarę, i gdy przebyłem dzieć chłopiec kładąc się do snu odmawiał wieczorną modlitwę dziękował gorąco ze łzami w oczach Bogu za miłość ludzi którą umiał sobie zjednać.

Po szczęśliwym dniu nastąpiła noc cicha i jasna. Pro mien księżycy, wkradając się do pokoju, oświecał jasną główkę dziecka i niósł mu sny różowe. Przy blasku jego widziałem, jak usta chłopczyzny się uśmiechały, składały do pocałunku, a rączki wyciągały się z miłością w przestrzeń. Wrażenia dnia znać przechodził i we śnie i dziękował Bogu za wszystkie jego radości.

Powoli i mnie sen skleił powieki, zwinąłem kielichy kwiatów i zapadłem w słodkie odrętwienie. Nie będę opowiadał jak spędziliśmy za wzajemną zgodą kilka dni następnych, bo chcę ci opisać, młody czytelniku, ostatnią i najważniejszą chwilę mego cichego istnienia, a obawiam się ciebie znudzić i tak długim opowiadaniem.

Był to dzień niedzielny i dzwony kościelne wzywały od rana do domu Bożego. Ze szmeru cichych rozmów dowiedziałem się, że to był dzień uroczysty dla wioski, dzień Patrona, i że spodziewano się przyjazdu biskupa. Zrozumiałem teraz przygotowania, które od kilku dni czyniono, ogołocenie kwiatowych kobierców, przeznaczenie wieńców i bukietów. Rozmyślałem właśnie nad losem moich współbraci, których pasmo życia było tak nagłe przerwane, gdy wpadł sługa wysłany z plebanii i zawołał:

— Na miłość Boską dajcie kilka jeszcze kwiatów, ale bardzo pięknych, żeby ułożyć koronę w górze ołtarza. Weźcie zkąd chcecie, choć doprawdy niewiem zkąd, bo już ich nigdzie nie widzę, a ksiądz proboszcz błaga i zaklina, by mu je przynieść, bo się brakiem tej korony cała jego praca zeszpeci.

Spojrzałem na Olesia, stał przy oknie, i bladł i czerwieniał na przemiany. On jeden tylko miał kwiat godny, aby zdobił strop ołtarza. Wahał się, nikt od niego nie żądał tej ofiary, bo znali jego przywiązanie do mnie. Ale w poczciwym jego sercu walka niedługo trwała i po chwili jeden za drugim kwiat został ścięty. Nie zostawił ani jednego, oddał wszystkie i mężnie wstrzymywał cisnące się do oczu łezki.

— To pierwsze zwycięstwo nad sobą samym i tę ofiarę dziecinną Bóg ci policzy, moje drogie, kochane dziecko — rzekła przyciskając go do serca wzruszona matka, milczący świadek tej sceny.

Gdy zakrystyan przyniósł pęk róż, stary proboszcz zrozumiał poświęcenie chłopczyka i gorącą modlitwę wznosił do Boga za tym, który dla miłości jego wyrzekł się najdroższego swego skarbu.

Po chwili wraz z braćmi i siostrami swemi umieszczony zostałem w górze ołtarza. A czas był wielki, biskup nadjechał, nabożeństwo się rozpoczęło. Ze swego wyniesienia spojrzałem raz jeszcze na mego drogiego pana, na którego dziecinną twarzyczkę widniały jeszcze ślady wzruszeń, ale oczy błyszczały radością, a mówiły o zadowoleniu serca.

Zadzwonili na Podniesienie. Zwolna wzrok mój przeniósł się na korzące się tłumy, na siwą głowę przedstawiciela Chrystusa, wznoszącego Przenajświętszy Sakrament. Gorąco odurzało nas, zemdlone główki chyliły się ku ziemi i jedne za drugimi liście opadały w koło. Czuję, że mój koniec się zbliża, że ten los spotyka i moich towarzyszy, czuję, że za chwilę i ślad naszego istnienia zaginie; ale mimo to umierałem z dumą i radością, bo wiedziałem, że umieram ku chwale Bożej, zdobiąc strop ołtarza, ja, dziecię pogardzonej *rosy caniny*.

## CZTERECH A JEDEN

KOMEDYJKA ZE ŚPIEWKAMI,

przez

Zofię Haukową.

(Dokończenie).

### Scena VIII.

TEŻ SAME, JÓZEF potém ICEK.

JÓZEF.

Icek żyd, z owocami przyszedł; pani go tu przysyła (odchodzi).

CESIA.

Cóż znowu, my nigdy nic same nie kupujemy (Icek wchodzi). Ach!

ICEK.

Pokorny sługa wielmożnych państwów! ny, jakbym miał pszczuciów, że tu będzie dzisiaj gościów, przynoszę jabłków i gruszków, berów tak smacznych aż, aj waj...

CESIA.

Dobrze, dobrze, Icku, proszę was, moje miłe (Częstuje Zosię i Kasię owocami).

ICEK (podając jabłko Zosi).

Proszę panienki, jabłko doskonałe, prawdziwa bursztówek, a śliczne jak panienka.

ZOSIA.

Ho, ho, komplement... no proszę, w tej Warszawie wszyscy umieją grzeczności prawić... nawet żydzi...

ICEK.

Starozakonni, proszę panienki, starozakonni... o, już teraz żyd nie żyd, tylko pan wielmożny, już brodów nie nosi; pfe! w karyciech jeździ i po tyatrach chodzi.

CESIA.

Ręczę, że i Icek często bywa w teatrze.

ICEK.

Ny, czemużby nie chodził, albo to tak trudno włączyć na paradyz, ztamtąd prześliczny widok na ludziów, patrzeć z góry.

ZOSIA.

Bywasz więc często w teatrze?

ICEK.

Czasem, — czasem na szabas, proszę panienki, kiedy się grosik utarguje w tygodniu.

CESIA.

Widziałeś zapewne „Icka zapieczętowanego”.

ICEK.

Ny, już dwa razy.

CESIA.

Prawda, że p. Damze doskonale żyda naśladowuje?

ICEK.

Ny, co panienka mówi o jakim panu Damzego... Icek z towarami to żyd z Franciszkańskiej ulicy, ja spotykam go często na Krakowskich przedmieściach.

CESIA.

Zapewne umiesz śpiewać niektóre ze śpiewek Icka?... (Icek potakuje) o proszę, zaśpiewaj.

ICEK.

Ny, kiedy się wstydzę.

ZOSIA i KASIA.

Śpiewaj, proszę, śpiewaj!

ICEK.

Kiedy panienki każom... (namyśla się) Nu, ale ja z przeproszeniem o tamtym Icku nie zaśpiewam, tylko o inakszym...

WSZYSTKIE DZIEWCZYNIKI RAZEM.

Dobrze, dobrze, śpiewaj co chcesz.

ICEK (pogładziwszy się po głowie, wskazuje na siebie i śpiewa).

„Nie chwając się, towar dobry w koszyku przynoszę,  
„A za jabłki, pomarańcze zbieram sobie grosze.  
„Gdy uzbieram dużą kupę, to i sklep otworzę,  
„Wtedy Icek, jak pan bankier, zasiądzie w kantorze.  
„W moim sklepie *kleine bube* staną na obsługę,  
„A ja z gościem wchodzić będę w konwersacyów długie.  
„Panom powiem, co w gazetach wczorajszych stojało,  
„Paniczykom, że na Węgrzech wino już dojrzało;  
„Panienczkom, co stroików przysłała moc z Paryża,  
„I że wkrótce nowy transport słodyczów się zbliża.  
„Tego stołkiem poczęstuję, temu ukłon dam;  
„A pieniążki do kalety zawsze zbiorę sam.

Oj, oj, zbiorę sam!

Do nóg upadam wielmożnych panienków (wychodzi szybko).

### Scena X.

ZOSIA.

Ach jeszcze, jeszcze, moja Cesiu, zawołaj go przez okno.

CESIA.

Wieczór tak ciemny, już go ani widać.

ZOSIA.

Szkoda wielka!

KASIA.

Bardzo mnie zabawił. Nie myślałam doprawdy, że i żydzi śpiewać umieją; proszę cię, przyślij go do nas jutro z owocami, aby i Jadwinia go usłyszała.

CESIA.

I owszém. Ręczę, że Icek uszczęśliwionym będzie popis-

waniem się u was swoim talentem. Ale wróćmy do naszych rysunków.

ZOSIA.

Bardzo chętnie, bo ja niezmiernie lubię obrazki.

KASIA.

I ja także. (dziewczynki zabierają się znowu do oglądania książki).

ZOSIA (oglądając rysunki).

Co za prześliczny bratek, jak wybornie odmalowany.

KASIA.

Prawda, byłam pewną, że prawdziwy! Czyja to robota?

CESIA.

Mego ojca najdroższego. Pod nim znajduje się śliczna poezja znakomitej naszej wieszczki Deotymy.

(czyta na głos).

„Dotąd, o bratku, w ciszy ogrodów,  
„Kwitniesz samotny, kwitniesz nieśmiały,  
„Lecz i dla ciebie błysnie dzień chwały,  
„Ty będziesz kiedyś godłem narodów.  
„Gdy już nie będzie dla wszystkich ludzi,  
„Innego miana prócz nazwy brata,  
„Wiosna równości w sercach się zbudzi,  
„I wieniec z bratków zwieńczy skroń świata!

ZOSIA.

Prześlicznie! pozwolisz mi, że je później przepiszę.

CESIA.

Z największą chęcią!

Scena X.

TEŻ SAME I JÓZEF.

JÓZEF.

Janek druciarz pyta się, czy wejść może?

CESIA.

Ależ on 1-go przychodzi, a dziś dopiero 20-ty... zresztą — i owszem — przyprowadź go tutaj, Józefie. (Józef odchodzi).

ZOSIA.

Co to za Janek?...

CESIA.

Jest to biedny mały druciarz, którego rodzinę poznaliśmy w zeszłym roku zwiedzając Tatry. Mama się nim opiekuje i nam pozwala udzielać mu co miesiąc cokolwiek z naszych oszczędności. Chodź tu, Janku. (Janek wchodzi).

Scena XI.

TEŻ SAME I JANEK.

CESIA (na stronie).

Ach!

JANEK.

Do nóg upadam wielmożnym paneczkom. Zawołali mnie tu na drugie piętro, aby garnki drutować, skończyłem robotę, a że to dom moich dobrodziejów, pomyślałem sobie zaraz: muszę powitać moją drogą paneczkę Cecylią i rączki jej ucałować (całuje Cecylię w rękę).

CESIA.

Bardzo dobrześ zrobił, mój Janku, żeś przyszedł nas odwiedzić. Cóż tam słychać nowego?...

JANEK.

A cóżby nowego było dla biednego druciarza, zawsze jedno i to samo, garnki, garnki drutować; człek jak może pracuje (do Zosi i Kasi). Może i panienki co kupią, pułapki na panienki...

Co znowu...

ZOSIA

JANEK.

Przepraszam chciałem powiedzieć na myszy... ale bo wszystkie panienki bardzo do myszek podobne.

ZOSIA.

W czymże przecie?...

JANEK (figlarnie).

Ostre mają ząbki, doskonale przygryzać umieją.



JANEK.

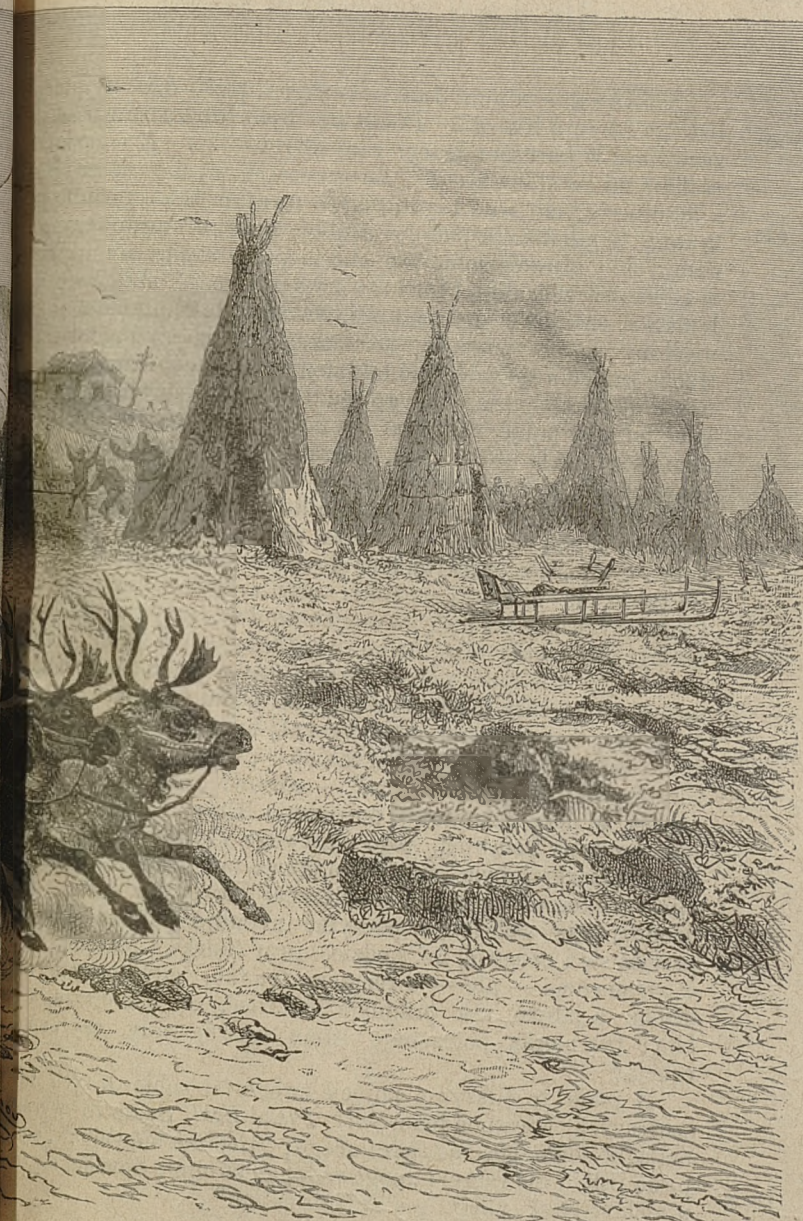
Stuknij w stół, a nożyce się odezwą, a czyż ja mówiłem, że panieczki są złośliwe?

CESIA (na stronie).

Mają za swoje (głośno). Mój Janku, może niechcący, ale ubliżasz tym panienkom.

JANEK.

Przepraszam bardzo, to bez myśli, ja tylko powtarzam to, co słyszę; człeku, chodząc po świecie, nie jedno przylgnie do



KASIA.

Zal ci zapewne rodzicielskiego domu?

JANEK.

Oj co żal, to żal, panieczko, bo mam dobrych i pocziwych rodziców, kilkoro braci i sióstr, i starego dziadka bardzo uczonego. Mój dziad w swoim czasie wiele krajów zwiedził, wszyscy go u nas zowią mądrym Wojtkiem; on nas uczy katechizmu, czytać i dobrze mówić po polsku, a żeby paneczki wiedziały, gdy zima nadejdzie i długie wieczory, jakie on nam śliczne historye opowiada, aż strach...

KASIA.

Ach, może co o strachach?...

CESIA.

Jeśli masz czas, mój Janku, opowiedz nam choć z jedną...

JANEK.

Ej, kiedy nie wiem, czy sobie przypomnę...

KASIA.

Przypomnij sobie, proszę, ale o strachach, bo ja takie najwięcej lubię.

JANEK.

Ksiądz pleban powiada, że strachów niema na świecie, ale mnie się zdaje, że on się myli, bo przecież mój dziadek na własne swe oczy widział...

ZOSIA i KASIA (otaczając go).

Co widział?...

JANEK.

Tylko nie wiem dobrze, jak to było... muszę sobie przypomnieć jego własne słowa.

CESIA.

Dobrze, dobrze, a my siadajmy. (Dziewczynki siadają na krzesłach, Janek zasiada na ziemi).

JANEK.

Mnie tu będzie doskonale.

ZOSIA i KASIA.

A więc zaczynaj, mój Janku, mój Janeczku.

JANEK.

Otoż tedy, raz w pewnym kraju zjawiała się straszna, czarna dziewica! Dusza jej, ulegając jakiejś czarodziejskiej mocy, prawie nigdy nie miała pokoju; w pewnych godzinach jęki okropne wydobywały się z jej piersi, oddech jej ciężki i krzyk przeraźliwy rozlegał się daleko w okolicy i był postrachem ludzi i zwierząt... Oczy jej, jak płomienie, iskry rzucały rzesiste w około, a ciemny, długi jej warkocz wysoko unosił się w powietrzu, i tak leciała, jak szalona, przez góry i lasy, niwy i ponad wody... Biada śmiatki, któryby ją chciał zatrzymać w jej biegu, biada, ktoby jej w oczy zjrzeć się odważył... ona nieublagana, cwałem pędząc, okrutną śmierć każdemu zadać była gotowa... Ta straszna, czarna dziewica...

Scena XII-ta i ostatnia.

CIŻ SAMI KOSTUŚ, PÓZNIÉJ JÓZEF.

KOSTUŚ (wpadł wesoło).

Otoż i jestem! Witam szanowne towarzystwo. Uprosiłem wreszcie mamy, żeby mi tu pozwoliła przyjść, pomimo kaszlu i kataru (sposprzega Janka)

A to co? Adaś przebrany za druciarza! A to i ja chciałbym się przebierać...

ZOSIA i KASIA.

Co? ten druciarz?...

ADAŚ (zdejmując perukę).

To Adaś, do usług miłych kuzynek, również jak i Icek żyd, i Pirueta, nauczyciel tańca.

ZOSIA

Zażartować z nas chciałeś zapewne.

czyka, tak, iż potem się odezwie... a często może i nie do zeczy.

ZOSIA.

Doskonale umiesz się wykręcać; nie myślałam doprawdy, że i druciarze dowcip mieć mogą.

KASIA (do Janka).

Powiedz mi, czy dawno tułasz się po świecie?

JANEK.

O, już będzie ze dwa lata.

ZOSIA.

Widzicie, jaki dowcipniś...

KASIA.

I złośliwy...

JANEK.

Nie ja jeden taki na świecie.

ZOSIA.

Proszę, czy to do nas przymówka?

ADAŚ.

Bynajmniej. Staralem się tylko wszelkimi siłami was zabawić.

ZOSIA i KASIA (podając mu rękę).

I doskonale ci się to udało, mój Adasiu.

CESIA.

A cóż... czy nie mówiłam, że Adaś nieźle swych gości zająć potrafi, a miłe kuzynki za ostro i stanowczo swe zdanie objawiają, jest to wada wielu bardzo osób...

ZOSIA.

Z której postaramy się uleczyć, korzystając z tej przygody.

KASIA.

Zwłaszcza, że i mama nam ją często wymawia.

CESIA.

Życzę wam poprawy z całego serca, bo słyszałam nieraz, że łatwiej jest ludzi osądzić, nawet potępić, niż poprzednio należycie przekonać się o ich wartości.

KOSTUŚ.

Wszystko, co mówicie, jest bardzo ładne i moralne, ale i jabym się chciał wziąć do jakiej roli.

JÓZEF (wchodzi).

Pani prosi na herbatę, (odchodzi).

CESIA do KOSTUSIA.

Weź się tymczasem do podwieczorku!

KOSTUŚ.

Dobrze, dobrze, chodźmy na herbatę.

ADAŚ do ZOSI i KASI.

A więc nie gniewacie się na mnie?

ZOSIA i KASIA.

O nie, zawstydzasz nasz swoją uprzejmością...

KASIA.

A koniec twój historii?... owa czarna, straszna dziewica?...

ADAŚ.

Nie jest bajką na tym świecie... w Warszawie widzieć ją można...

ZOSIA.

Nie rozumiem.

ADAŚ.

Zgadnijcie?...

WSZYSCY.

Cóż to takiego?...

ADAŚ.

Lo... ko... mo... ty... wa...

WSZYSCY.

Ach, prawda!...

KASIA.

E, więcéj było strachu, niż rzeczy.

ADAŚ.

Nie przeczę, bo to tak we wszystkich baśniach. Lecz chodźmy teraz do mamy na herbatę, a przedewszystkiéj podziękujmy jéj za udział, który miała w tej komedji.

ZOSIA.

Wyznać trzeba, mój Adasiu, że wybornie odegrałeś swoją rolę.

ADAŚ.

Dziękuję za pochwałę, ale to jeszcze nie dosyć (śpiewa wskazując publiczność).

„Kuzynki kochane sypią mi pochwały,  
„Lecz dla mnie nie dosyć. — Was proszę o względy,  
„Na wasze usługi jestem dzisiaj cały,  
„Nietylko zaś dzisiaj, lecz zawsze i wszędy.  
„A wszystkim nam tutaj prześlijcie z swéj łaski  
„Uśmiechy wesołe i z serca oklaski:

## NA PÓŁNOCY.

Na rysunku dzisiejszym widzicie znowu owe jurty, które budują na północy, nietylko Ostyacy, ale i Tunguzi, i inni mieszkańcy tych zimnych krain. Konie i inne zwierzęta domowe, pospolite u nas, nie mogą żyć w tym ostrym klimacie, lecz zastępują je renifery; dostarczają nabiału, mięsa, służą także do zaprzęgu, a jak widzicie, pięknie i osobliwie wygląda ten zaprzęg.

## List starszej przyjaciółki do młodziej.

Samaś sobie winna, Jadziu kochana, jeżeli dziś otrzymasz list „o pisaniu listów”. Pocóż się było przyznawać, że się zaczynasz w korespondencji zaniedbywać?... A w dodatku trafiłaś mi w słabą stronę, bo przyznam ci się, że za jedną z boleśniejszych wad tegoczesnych uważam tak często napatykaną u młodszego pokolenia obojętność w stosunkach rodzinnych. Mówcie sobie co chcecie, ale nigdy nie uwierzę w takie przywiązanie, które nie zwycięży małej skłonności do lenistwa, chwilowej opieszałości, wiedząc, że tém komuś przyniosłoby się przyjemność, serdeczną pociechę. Prawda, że trzeba samemu tęsknić, być oddalonym od tych, których serce nasze ukochało, pragnąc gawędki poufnej, życzliwéj, a nie mieć jéj, aby pojąć, czém jest *list* od drogiej lub tylko miłych nam osób. Ale któż z nas, która z Was, młodziutkie moje przyjaciółki, choć raz w życiu nie znalazła się w tém położeniu? Ja Ci się przyznam, Jadziulko moja, że nieraz w życiu miałam ochotę uściskać listonosza, zjawiającego się z pożądaniem i tak gorąco oczekiwaném słówkiem od moich. Przyznam się także, iż nieraz gorzki żal uczułam do tych starszych i młodszych przyjaciółek, co mogąc mi dostarczyć wielkiéj pociechy, nie czyniły tego, a po długich tygodniach, ej gorzej! czasem po miesiącach oczekiwania, łez i niepokoju z mojej strony, obdarzały liścikiem z białemi stronicami (ach, te białe strony, to przedmiot mojej czarnéj nienawiści!) zaczynającym się od słów mniej więcej takich: „Droga Manieczko, czy Siostrzyczko, czy Cioteczko” — stosownie do okoliczności: „wiesz, że mam taki wstręt do pisania listów”; lub: „nie cierpię rozmowy listownéj, tego martwego słowa” i t. d. Ach! I ja nie cierpiałabym martwego słowa, gdybym mogła natomiast zakosztować żywéj, serdecznój gawędy z wami, moi drodzy; i ja wolałabym poczytać zajmującą powieść, albo przejść się i zabawić, niż siedzieć przy biurku i maczać pióro w atramencie — ale — o rozmowę trudno, gdy nas setki mil dzieli, a jabym tak pragnęła wiedzieć, co was cieszy, czy boli; tak nieraz potrzebuje sama waszój rady, czy współczucia!

A jakie to fałszywe pojęcie tworzymy sobie o tych nieszczęsnych korespondencyach! *Pisać list!* Same te wyrazy mają w sobie coś zastraszającego; więc nie mówmy: „będę pisać listy”, ale raczej: „pogawędzę ze swoimi; dowiem się, co u nich słychać; pomyślę o miłych moich”...

Mało też kto umie list napisać, to jest napisać go tak, by zrobił przyjemność. Jedni piszą, niby stylowe wypracowania, (to się zdarza młodym panienkom starannie wychowanym; ale bez przymówki, Jadziu moja); inni rzucają słów kilkanaście, tłómacząc się na początku pośpiechem, na końcu zaś brakiem papieru, (używając do tego owych na utrapienie ludzkie wymyślonych „Cartes de Correspondance”, lub fantazyjnych bilecików, zajmujących 6 centymetrów kwadratowych, a w dodatku przyozdobionych wyobrażeniem psa kudłatego, żeby choć innego wdzięcznego stworzenia jakiego!) inni narzekają na obfitość treści, nie dającéj się zamknąć w krótkich słowach; jeszcze inni na zupełny brak takowéj, a mało kto prawdę mówi, lub ma rację w swych wymówkach.

Naturalnie, że list swój musimy stosować do osoby z jaką rozmawiamy, ale w ogóle: piszmy naturalnie, swobodnie, szczerogłowo, o ile możności. Do bliższych nam sercem nie wa-

najmy się przesyłać opisów z życia codziennego; mówmy im o znajomych swoich, o zajęciach, książkach lub robotach; nie gardźmy najdrobniejszymi szczegółami, bo te dopiero czynią list miłym, poufnym i skracają niejako odległość, dzielącą nas od ukochanych.

Bardzo dobrą rzeczą jest także zabrać się do odpowiedzi na list, skoro tylko go otrzymamy; pisać, kiedyśmy jeszcze żywni słówkiem od oddalonych — kiedy nam świeżo w pamięci to, o co pytają, lub co mówią korespondenci nasi. Można listu nie wysłać natychmiast; może coś później dodać wypadnie, ale odpowiadać radzę zacząć na razie; wtedy listy choć w części rozmową zastąpią.

Niedawno spotkałam u jakiegoś autora francuzkiego ustęp, który mi zupełnie trafił do przekonania; mówi między innymi rzeczami: „W naszych czasach w ogóle nie odpowiada się na listy. Zapomniawszy o tém, co do nas pisano, gawędzimy, poprawiamy, opowiadamy, ale nie odpowiadamy, a bez tego niema, prawdę rzekłszy, korespondencyi, choćbyśmy mieli pióro pani de Sévigné, i t. p. . . . Żyjemy tak szybko, tyle wysłały telegramów, korespondentek, i t. p., że nie mamy czasu odczytać listu czyjegoś uważnie i porządnie nań odpowiedzieć” . . . Co zaś do zwalczania lenistwa listowego, do którego się ludzie przyznają, bez żadnego skrupułu nawet — i na to jest sposób: każdy, a témbardziej ci, czy te, co nie mają ważnych zajęć, powinni przeznaczyć sobie jaką stałą godzinę w dniu lub choćby parę godzin na tydzień, wyłącznie na pisanie listów. Przychodzi pora, siadam przy biurku czy stoliku, biorę pióro i piszę koniecznie, a zawsze znajduję się do kogo; wysyłam zaś korespondencyą choćby i później. Drugi sposób: pisać, gdy tylko uczujemy ochotę do tego, gdy myśl nasza zwróci się do oddalonej osoby, nie bacząc na to, czy list pójdzie za tydzień, czy za miesiąc nawet; jak to dobrze będzie znaleźć go w teczce potem, dodać słów kilka i wyprawić! A jaki to z niego gość pożądanym być może! Doprawdy, gdybym była poetką, wyspiewałabym ode, czy sonet, czy cały poemat o liście! A tymczasem mój nudny, prozaiczny, zakończam na prawdę: „dla braku papieru”. Niepospolite zakończenie, przyznasz to, Jadziu, Twój stariej przyjacielce

*Maryi Świdorskiej.*

## WYPRAWA PO ZŁOTE RUNO.

PRZYGODY WĘDROWCÓW W AMERYCE.

(Dalszy ciąg).

Karol po raz setny powiadał sam sobie, że był głupi, ale to głupi, jak but z lewej nogi, skoro porzucił przedmieście Św. Jakóba i przylazł tu po to, aby ludzie czekoladowej barwy zdarli mu jego własną białą skórę z głowy i to jeszcze wraz z włosami! Cała ta sprawa wcale na ten raz zabawną mu się nie wydawała. Ojciec Anzelm tymczasem, po krótkiej chwili milczenia, a raczej modlitwy, dowodził po cichu towarzyszom, że po nad wszelką ludzką, dziką lub nie dziką potęgą, istnieje potęga Boska, która nakazuje nie rozpaczć nigdy.

Dzień zabłysł i można było lepiej przyjrzeć się Kiowayom. Karol skrzywił się mimo wiedzy na widok okrucieństwa, widocznego w ich twarzach, nadzwyczaj szpetnych. Osagowie, Kriksy, Szaunisy o szlachetnych rysach i poważnych ruchach w niczem nie byli podobni do Kiowayów, o wstrętnych, dzikich twarzach, z nogami wygiętymi koszlavo od konnej jazdy, o barwie skóry ziemistej i oczach latających ustawicznie. Niektórzy mieli coś nakształt krótkich spodni z frendlami na szwach i skórzane łapcie przytwierdzone do stóp; inni nosili jakiś rodzaj koszuli; a jeszcze inni i tego stroju nie posiadali, tylko pióra na głowie, konieczną u nich część ubrania. Włosy nosili długie, na nich straszdyło z sitowia plecione, przedstawiające kapelusze, albo kawałek tkaniny, okręconej w koło

głowy. Wszyscy mieli łuki, strzelby i szerokie noże u pasa. Niektóre nieliczne znakomitości w tej gromadzie były tatowane; a trzech tylko starszych miało owe naszyjniki, naramienniki i kolczyki, tak wysoko cenione u Indian z wybrzeży Missisipi, Missuri i Arkansasu.

Wódz przystąpił do więźniów, patrząc na nich ciekawie. Ojciec Anzelm zaczął mówić do niego. Wódz słuchał uważnie i kazał go z więzów oswobodzić. Ojciec Anzelm zaczął natychmiast prosić o toż samo dla swych towarzyszy. Wódz odszedł w milczeniu.

Kiowaye zajęli się opatrywaniem koni i siodłał, nakrytych skórą tygrysiem lub lisiem, z drewnianymi strzemionami, jak u Arabów. Dużo jest podobieństwa w istocie, chociaż nie w powierzchowności, między mieszkańcami pustyni amerykańskich i afrykańskich: toż samo u nich przywiązanie do konia, bez którego żyć nie umieją, taż sama wzdarda wszystkiego co obce; warunki ich bytu wyrabiają w nich zapewne to podobieństwo charakteru. Małemi oddziałami zaczęli rozjeżdżać się Kiowaye, zapewne na łowy. Pozostało ich ze dwunastu i ci przystąpili nagle do więźniów, którzy w tej chwili próbowali Bóg wie po który raz rozerwać więzy . . . ale więzy te były zazwyczaj używane do krepowania dzikich bawołów. Ojciec Anzelm stanął przed więźniami, zasłaniając ich bezbronnemi ramionami.

— Co chcecie z nimi robić? — pytał dzikich.

— Dać im jeść, zanim pojedziemy dalej — odpowiedzieli.

Rozwiązali ich w istocie, ale przykrepowali im ramiona powyżej łokcia do ciała; tak skrepowani więźniowie mogli jeść sami, ale nie mogli ani walczyć, ani bronić się. Wtedy dano każdemu placek kukurydzowy i kawałek bawolej pieczeni.

— Utuczyć nas chcą, zbrodniarze! — wrzasnął Karol, gdyż on wszystkich dzikich uważał za ludożerców. — Ojciec Anzelmie, ty, co rozumiesz ich zwierzęcą mowę, staraj się przekonać ich, że my, czy upieczeni, czy ugotowani, obrzydliwy smak mieć będziemy i że pożarliśmy nas, dostaną śmiertelnej niastrawności.

— Kiowaye nie są ludożercami; tego jednego możesz się nie lękać, Karolu.

— Nie są ludożercami?

— Nie; o ile wiem, jedynie tylko w Wyższej Kalifornii istnieją tu w Ameryce plemiona tak dzikie, że pożerają ludzi.

— A jednak oto tamten Kioway oka ze mnie nie spuszcza, a tak mu z tych oczu patrzy . . . jak kotowi, który ma zamiar schrupać myszkę!

— Ma apetyt na . . . jakąś część twego odzienia.

— Byle nie na koszulę, albo spodnie . . . Mimo zachęcających przykładów, jakie mam przed oczyma, przykroby mi było bardzo obejść się bez tych części ubrania, do których przywykłem.

Gaduła umilkł nagle, bo przyprowadzono konie i kazano wsiadać. Gdy który więzień wsiadał, natychmiast przykrepowywano mu nogi do konia, przeciągając więzy pod brzuchem końskim. Straż otoczyła więźniów. Nilka wyszła z lasu, prowadząc konia przepysznie przybranego, którego dosiadł Wilk-Krwawy. Dziewczyna stała, patrząc na przejeżdżających obok niej dawnych przyjaciół. Minno rzucił jej jakąś ciężką obelgę; Karol wściekłym gniewem miotany . . . pokazał jej język. Kioway prowadził muła naszych podróżników, obładowanego ich bronią. W godzinę po wyruszeniu w drogę, więźniowie jechali już niezmiernym stepem. Zdawało im się, że zawracają z drogi swojej, oddalając się od rzeki złotój. Ojciec Anzelm sam jeden nie był związany, mógł prowadzić konia, jak chciał, starał się więc zbliżyć do Nilki, ale go odsunięto natychmiast. Próbował zawiązać rozmowę z Kiowayami, zbliżając się do każdego z kolei; ale oni milezeli uparcie, zapewne na skutek rozkazu.

Po południu ujrano kilka krzaków z daleka, w pół godziny później popasano u małego jeziora z szkaradną wodą, którą jednak konie piły chciwie. Na wprost wznosiły się wysoko białe skały potężne, stanowiące granicę słynnej pustyni Estakado, niezmiernej przestrzeni, czterdzieści tysięcy kilometrów kwadratowych obszaru zawierającej. Jest to step

bez wody, bez drzew, bez ptaków, pokryty tylko nędzną trawą, którą wypala bezustannie słońce płomiennie, zamieszkały jedynie przez psy łakowe i jaszczurki; nawet sami Komanczowie nie zawsze odważają się przebywać tę pustynię.

Urządziwszy obóz, Indianie upiekli i spożyli doskonałą antylopę, którą mieli w zapasie. Po wieszery dwaj Kiowaye z pikami w rękach stanęli na straży, jeden przy koniach, drugi przy więźniach, inni zasiedli w koło i grali w kości. Od czasu do czasu gracz jeden przychodził wyręczyć stojącego na straży, który biegł co prędzej na jego miejsce wygrać lub przegrać nóż, naszyjnik, obuwie, konia nawet. Więźniowie, chociaż skrepowani, mogli jednakże przechadzać się z wolną, odwracając oczy od Nilki, siedzącej z daleka przy Wilku-Krwawym. Karol gorzko wyrzucał sobie, sam nie wiedząc nawet co właściwie, ale Tomasz bronił go przeciw niemu samemu, utrzymując, że liczba nieprzyjaciół zbyt była wielką, aby można było walczyć z nimi zwycięzko, choćby nawet Karol zbudził był na czas swych towarzyszy; winną była tylko jedna, jedyna, niegodziwa Nilka, która wędrowców zdradziła i wydała wrogom. Paweł zakazał im nareszcie mówić o tém, co się już stało, a wezwał wszystkich do narady nad tém, co czynić należało teraz.

Wiedzano dobrze, że Kiowaye nie zawsze zabijają więźniów, lecz często zatrzymują ich w niewoli. Niewola u dzikich, było to coś gorszego niż śmierć, a niewoli właśnie należało się spodziewać, sądząc po staraniach, jakimi dzicy otaczali więźniów. Trzeba było działać i umrzeć raczej, póki wszyscy znajdowali się jeszcze razem. Paweł podawał gwałtowne różne sposoby, których celem była swoboda, lub śmierć; i Tomasz gotów był na jego skinienie walczyć i umrzeć, lecz słuchał także Minna i Wampy, a ci radzili działać podstępem. Tymczasem trzeba było czekać sposobności, bo na teraz nic nie można było przedsięwziąć.

Jechano śpiesznie przez dni cztery, przy skąpo rozdzielanej wodzie pod płomiennym żarem słonecznym. Piątego wieczoru ujrano rzeczkę, nazwaną przez Kiowayów Pekos. Rozłożono się obozem wśród wspaniałych drzew, a Nilka i Wilk-Krwawy przeprawili się przez rzekę na przeciwległe lesiste jej wybrzeże. Przed świtem nazajutrz usłyszano donośny głos Wilka-Krwawego, rozkazujący przygotować konie. Krzyki i tętent koni rozległ się gwałtownie, potem zaczął się oddalać, aż gdy słońce weszło, wszystko ucichło. Więźniowie ujrzeli dwunastu dzikich wspaniałe utatuowanych, pilnujących powierzonych im niewolników. Byli to Zikaryllosy, nieliczne pokolenie i niezbyt wojennego ducha, pozostające pod przemocą Apaszów i Komanczów.

Ojciec Anzelm co prędzej usiłował zaprzyjaźnić się z nową strażą i zaczął ich rozpytywać. Dowiedział się, że Kiowaye pojechali na wybrzeża rzeki Kanadyjskiej, bo na prawym jej brzegu było rozłożone ich główne obozowisko. Nilka zaś pojechała z częścią wojowników do swego ojca, który polował w tej chwili na wybrzeżu wielkiej rzeki Bravo del Norte, w kraju Apaszów.

— A więc jesteśmy wolni! — rzekł misjonarz.

— Nie; córka wielkiego wodza oddała was pod naszą straż. Mamy rozkaz żywić was, nie dać wam uciec i bronić was, gdyby niebezpieczeństwo wam jakie groziło.

Próżno ojciec Anzelmypytywał; nie dowiedział się nic więcej o zamiarach córki wielkiego wodza czterech głównych plemion Komanczów, których sprzymierzeńcami byli Zikaryllosy. Szczególniejsze to były nowiny, z którymi ojciec Anzelm wrócił do towarzyszy. Wszyscy razem gubili się w do-

mysłach. Byli zamknięci obecnie w małym przyładku, wyniętym w zakręcie rzeki głębokiej i gwałtownej. Na lewo widać było las, ku któremu postanowili uciec za pierwszą sposobnością. Przez ośm dni, długich jak wieczność, oczekiwali napróżno tej sposobności. Rano i w wieczór straż się zmieniały a podwajały na noc. Na przeciwnym brzegu rzeki Pekos w lasku była ukryta wioska, mieszkańcy jej strzegą więźniów, a kobiety nie lepiej odziane od swych mężów i dzieci nagie, przypatrywały im się z daleka, podziwiając głośno i wyraziście ubranie tych więźniów, barwę ich skóry, włosów i ust... W czasie posiłków, chłopaki wyrostki około czterystoletni, uzbrojeni w łuk i strzały, przynosili więźniom owce obfite i doskonałe. Chłopcy nie śmieli jednak przystępować blisko, wytrzeszczając zdumione oczy. Czasem strzelał z łuku przed więźniami, wyraźnie popisując się ze zręcznością. Byli w istocie tak celni łucznicy, że nie spierali się ju o to, kto dosięgnął celu, ale o to, czyja strzała głębiej się wezaryła.

(D. c. n.)

#### ZAGADKA (Zetka).

Leży w księstwie poznańskim,  
Jest miastem wielko-pańskim;  
W łomżyński jest krainie,  
I pewną wodą słynie;  
Jego mury też świecą  
Nad rzeką Tyśmienicą  
W siedleckiej okolicy;  
Jest też w pskowskiej dzielnicy.  
Niechże czytelnik powie,  
Jak się to miasto zowie?

#### SZARADA (Różia D.).

*Pierwsze i drugie:* domowe zwierzęta,  
Pracują ciężko, a pracą wytrwała,  
Dają chleb ludziom, do chleba swe ciało;  
Dla nich dość trawy, zimą słoma rznęta.  
*Trzecia i czwarta:* piastunka dziecinna,  
Całość przyjemna, piękna, dobroczynna,  
Zawsze wesoła, a często ciekawa,  
Potrzęsa loczkiem, oczęta rozszerza,  
Ale nie zawsze w jej myśli zabawa —  
Rodem z okolic Dubna, Żytomierza.

#### ROZWIĄZANIA DO N-ru 20-go.

Łamigłównki głoskowej:

Kolumb.

Łamigłównki kropkowanej:

Kazuar — Wornie — Ostróg — Rimini — Ariman.  
Kwora — Niger.

**TREŚĆ:** Rozmowa z ptaszkiem wiersz (z drzew.) p. Helenę Bojarską. — Historia pączka róży p. Zofią Grabkowską. — Czterech a jeden, komedyjka p. Zofią Haukową. — Na północy (z drzew.) — Wyprawa po złote runo, przygody wędrowców (c. d.). — Łamigłównki i rozwiązania. W Dodatku: Chytry kot i zwinna myszka (bajka z drzew.) — Co dzieci widziały idąc do lasu p. Jana. — Zapóźno p. Strzałę. — Odkładana nauka p. Helenę Bojarską. — Wdzięczny góralczyk p. Celinę. — Łamigłównki, rozwiązania, Odpowiedzi Redakcyi i Ogłoszenie. Dodatek książkowy: Mały książkę powiastka historyczna przez miss Yonge przekład z angielskiego.

## CHYTRY KOT I ZWINNA MYSZKA.

B A J K A.

Raz myszka, znęcona zapachem oliwy,  
Wdrapała się na słój wśród trudu i biedy;  
Zajrzała do niego — i jakoś, o dziwy!  
Ujrzała się wewnątrz, niewiedzieć jak, kiedy.  
A właśnie w tej chwili kot wpadł do spiżarni,  
Więc myszka się cieszy, że uniknie kota,  
I strachu wszelkiego, i śmierci w męczarni;  
Bo znała z podania, że kot jest niecnota.

Więc siedzi spokojnie i śmieje się z cicha,  
A kotek się kręci i miaucze i wzdycha...  
Wtém jakoś niechcący wzrok zwrócił do kąta,

Rzucił nim w żelazo i rozłukł w połowę...  
I dalejże swą zdobycz chciał schwycić w pazury,  
Lecz myszka się zwinnie schowała do dziury.

\* \* \*

Kot gniewny o mało nie zemdlał ze złości,  
Bezsilny, gonitwę odłożył na jutro.  
Wtém drzwi się otwarły: — Ja nie chcę tych gości!  
Ktoś wyrzekł. I schwytał i strzepał mu futro.

\* \* \*

Tak zawsze, gdy innym kto szkodzić chce zdradnie,  
Nie zyska nic na tём, sam w sidła popadnie.

Z. Morawska.



Gdzie myszka po słoju wesoło się krząta.  
Oj chciałby ją zchrupać, aż ślinkę połyka,  
Lecz jak ją wydostać? Zręcznie się przymyka,  
J dalej przez słoja powierzchnię przezrocza,  
Tak rzecze do myszki: — Ach, jakżeś urocza!  
Tak zręcznie się kręcisz, ogonkiem wywijasz,  
A po dnie wciąż tylko — a ściany omijasz,  
Że nawet w balecie — ba, nawet na scenie  
Nie skaczą tak pięknie, choć tańczą uczenie.  
Lecz jesteś zamknięta, więc źle ci być musi,  
I w końcu wśród tańca myszka się udusi.  
A szkoda byłaby! Wszak jesteś tak młoda!  
Ja sambym zapłakał! Ach, szkoda cię, szkoda!  
A myszka tych pochlebstw i nie chce, nie słucha,  
Lecz siedząc w słoiku, nie traci nic ducha,  
A tylko rozmyśla, jak pozbyć natręta.  
Bo matki nauki o kocie pamięta.  
Lecz mrużek się łatwo odstraszyć nie daje,  
I wspiąwszy się zręcznie, na łapkach dwóch staje,  
Drugimi zaś słoik u wierzchu otoczył,  
I wewnątrz spoglądał, lecz głowy nie wtłoczył.  
Więc myszka spokojnie, jakoby uśpiona,  
Siedzi tam cichutko w słoiku wgłębiona.  
Nasz mrużek zmęczony przemową i trudy,  
Chciał skończyć raz wreszcie, pokonać te nudy,  
A wzięwszy słój w łapki, podniósł go nad głowę,

## Co dzieci widziały idąc do lasu?

Pewnego pięknego dnia, na wiosnę, Mama zawołała Józia i Melunię i poszła z nimi na spacer, do lasu. Dzieci ucieszyły się z tej przechadzki, bo już bardzo dawno w lesie nie były. Melunia wzięła nawet z sobą lalkę, chcąc, żeby i ona miała przyjemność, Józio zaś zabrał pałasz i łuk, mówiąc:

— Gdyby nas zbójcy napadli, to przynajmniej będę miał czem Mamę i Melunię obronić.

— Ech, Mama mówiła, że niema żadnych zbójców, że to tylko w bajkach opowiadają o zbójcach — rzekła Melunia.

— No, jeżeli niema zbójców, to z pewnością napotkamy tygrysa, a może lwa, to zaraz ich zabiję! — odparł z tęgą miną Józio.

— Och, jeżeli tam są takie straszne zwierzęta, to lepiej wróćmy się, Mamuniu; — zawołała Melunia, tuląc się trwożliwie do Matki.

— Nie lękaj się, moja córeczko — rzekła Matka z uśmiechem — zapewnić cię mogę, że żadnego z tych zwierząt nie spotkamy; bo ani lwa ani tygrysa niema w naszych lasach.

— Doprawdy, Matuniu, niema? a ja widziałem lwa i tygrysa na obrazku — mówił Józio zasmucony, że nie będzie mógł spotkać się z temi strasznymi zwierzętami, i okazać swojej odwagi.

— Tak, widziałeś na obrazku, lecz nie widziałeś ich nigdy



żywych — wtrąciła Melunia — a może ich nawet niema żywych, tylko malowane? — dodała.

— Owszem, moje dziecko, lew i tygrys żyją tak samo jak pies i kot, lecz daleko od nas, nawet nie w Europie, tylko w inną część świata; nie mamy więc potrzeby obawiać się tych drapieżnych zwierząt — uspokajała Matka.

— A u nas niema wcale żadnych drapieżnych zwierząt? pytał Józio, naciągając łuk, ażeby go mieć przygotowanym na wszelki wypadek.

— Ale owszem, mój synu, i u nas są zwierzęta drapieżne, lecz nie mamy ich tak dużo, jak w innych krajach. Najdrapieżniejszym i najżarłoczniejszym jest wilk, lecz i tego nie potrzebujesz się obawiać, bo wilków niema tutaj nigdzie blisko.

— To żadnych zwierząt nie spotkamy? — pytał chłopczyna.

— A czy nie widzisz psa, który ci się przypatruje? a tam oto pasą się woły, krowy i cielęta; — mówiła Melunia.

— Ech, ja się nie o takie pytam zwierzęta — przerwał jęć braciszek.

— Nie chcesz ich, — no, to tam znów pasą się konie i małe źrebaczki; albo przypatrz się, jak kury z kurczętami wygrzewają się na słońcu, a indyk postawił skrzydła do góry i gniewa się na moją czerwoną chusteczkę; a kaczkę trzepocą się w błocie, a gęsi chodzą poważnie po miedzy! — mówiła jednym tehem Melunia, śmiejąc się z gniewu Józia, który ażeby jęć nie słuchać, zatkał sobie uszy.

— No, skończyłaś już! — zawołał, widząc, że dziewczynka mówić przestała.

— Moja Mammo!... Lecz nagle przerwał, bo właśnie minęli już wieś, dochodzili do lasu, a oto nagle zając wybiegłszy z pomiędzy krzaków, tuż około nich prawie przebiegł.

Paf! wystrzelił do niego Józio z łuku, lecz zając ani się obejrzał, tylko pomknął dalej.

— Masz tobie! nie trafiłem! — zawołał chłopiec. — No, może też drugi nadejdzie! ale moja Mamuniu, dla czego zając tak prędko uciekał, a pies, kot, cielę, a nawet kura, wcale nie ucieka, gdy nas zobaczy.

— Bo widzisz, mój synku, pies, kot, cielę, kura i wszystkie te zwierzęta, które chowają się blisko domu i potrzebują naszej opieki, nazywają się zwierzętami domowymi; przyzwyczajone są do ludzi, więc nie uciekają przed nami; zając zaś jest zwierzęciem dzikim, sam sobie szuka pożywienia, żyje w lasach i krzakach zdala od ludzi, boi się więc nas, bo należy do zwierząt dzikich.

— A jakie są jeszcze zwierzęta dzikie? — zapytała Melunia.

— U nas ze zwierząt czworonożnych jest jeszcze lis... a oto patrz, masz go na zawołanie — rzekła Matka, wskazując, jak młody lis uciekał przez pole i wkrótce wsunął się w jamę.

— Szkoda! — zawołał Józio — już uciekł!

— Ale patrz, patrz, Józiu, tam oto na drzewo, jak wiewiórka skacze! — wołała Melunia.

— Prawda, prawda, jest już wysoko, a teraz przeskoczyła na inne drzewo, skryła się — oho, już jęć niema! — wołał chłopiec, patrząc za uciekającą wiewiórką.

— A tam co znów tak kołacze? — zapytała po chwili Melunia, nie mogąc już dojrzeć wiewiórki.

— To dzięcioł, kuje dziobem w drzewo; ptak ze skrzydłami, o dwóch nogach! — zaśmiał się Józio.

— Wielka mi nowina, że ptak ma skrzydła, dziób i dwie nogi! — odrzekła mu Melunia — to zupełnie tak samo, jak gdybym powiedziała, że pies, kot, krowa, a nawet zając, lis, wiewiórka, i ten straszny wilk, którego jeszcze nie widziałam, mają cztery nogi.

— Kuku! kuku! kuku!

— Aha, widzisz jak to na ciebie woła kukułka! — zaśmiał się Józio — a ona ma także skrzydła, dzióbek i dwie nogi.

— I wróbel ma skrzydła, dziób i dwie nogi — odpowiedziała, przekomarzając się z bratem Melunia.

— I kos ma skrzydła, dziób i dwie nogi — rozśmiał się znów Józio.

I tak dzieci, wyliczając wszystkie znane ptaki i zwierzęta, bawiły się doskonale. Józio strzelał z łuku do celu, Melunia narwała kwiatów, dała z nich bukiet Mamie, ustroiła niemi siebie i lalkę; a oboje byli bardzo zadowoleni z przechadzki.

Za powrotem Józio i Melunia opowiadali, co to oni widzieli i słyszeli w lesie! Tylko lalka nic nie mówiła, była tak samo uśmiechnięta i tak samo mileżąca jak wprzód. A czemu?

Jan.

## ZAPÓŻNO.

Na dworze uśmiechało się wiosenne słońce, rzucając złociste promienie przez okienko małej izdebki na łóżeczko biednego chorego chłopczyna! Jakże oczy jego zabłysły radośnie, gdy jasny ten promyk padł na jego wynędzniałą rączkę.

— Tam, na dworze czuć już wiosnę!... Kwiatki niedługo kwitnąć będą i ustroją moją ulubioną łączkę... ptaszki powrócą z stron dalekich i śpiewać rozpoczną... wszyscy moi towarzysze wybiegną z dusznych izb na łąki i pola!... Ach! gdybym tylko raz jeden mógł pójść na tę dużą łąkę, żeby urwać choć bukietek pierwiosnków, które teraz tak pięknie kwitnąć muszą... tylko raz jeden!...

Tak myślał biedny, chory chłopczyna — ale kaszel przypominał mu częste przestrogi Babuni.

Pocziwa ta Babunia! — wzięła do siebie osierociątego wnuka, i pomimo wieku chodziła na całodzienną pracę, aby dla niego i dla siebie na kawałek chleba zarobić... Nieraz dziecku było tęskno i smutno, gdy sam pozostał, lecz inaczej być nie mogło!...

Wtém drzwi się otworzyły, i w progu stanął wesoły, zdrowy i rumiany chłopczyk:

— Jeszcze w łózku! Jasiu, czy nie wstaniesz, aby z nami się bawić? tak pięknie na świecie, tak wesoło!

Chory smutnie wstrząsnął głową:

— O nie, Michałku, nie będę mógł się z wami bawić, bom dardzo chory, i tak jestem słaby, że ruszyć się nie mogę! Ale gdybyś mi chciał zrobić przyjemność... to pójdz na tę dużą łąkę... i przynieś mi bukietek pierwiosnków... gdy je mieć będę... będą mi o wiosnie opowiadały... O proszę cię, Michałku, idź dziś jeszcze... tak cię będę oczekiwał!...

Michałek był jedynym towarzyszem zabaw Jasia, który od czasu do czasu przychodził go odwiedzić.

— Tak — pomyślał — ta łąka jest dosyć daleko od wsi... lecz jak też to nudno być musi tak cały dzień samemu w izdebce leżeć! jeszcze dziś przyniosę mu kwiatki!

Gdy biegł przez wioskę, spotkał innych chłopców — zaprosili go do gry; godziny schodziły, wieczór nadszedł, zmęczony Michałek pobiegł do domu i zapomniał o kwiatkach! Drugi dzień zeszedł tak samo. Biedny Jaś spoglądał często na drzwi, lecz przyjacieli nie przychodził, a jednak jego życzenie było tak gorące!... był tak słaby, tak zmęczony...

I trzeci dzień nadszedł, była to niedziela, Michałek, idąc do kościoła, spojrział na kwitnącą łąkę, która się przed jego oczyma rozpościerała i... przypomniał sobie przyrzeczenie. przestraszony zszedł ze wzgórką, na którym był kościółek, zerwał prędko pęk pierwiosnków i pobiegł do izdebki chorego... Oicho drzwi otworzył.

— Jasiu, przebacz, bo ja zapomniałem! — zawołał. Lecz nie było odpowiedzi... Chory leżał blady, cichy, spokojny... z dźwiękiem niedzielnym dzwonów czysta jego duszyczka uleciała ku Bogu... nie potrzebował ziemskich kwiatków, jemu już kwitły kwiaty niebieskie...

— Zapóźno — łkał rzewnie Michałek, zapóźno!...

Strzala.

## Odkładana nauka.

— Anielciu, dlaczego się nie uczysz? tyle lekcyj mamy na jutro, a ty sobie w najlepsze wyglądasz oknem.

— Lepiejbyś zrobiła, nie wtrącając się do mnie.

— Mama mi poleciła, aby zwracać na ciebie uwagę i dla tego to czynię; bardzo się zaniedbujesz w nauce, a Mamie sprawiasz tém wielką przykrość.

— Nie mogę przecież cały dzień siedzieć nad książką, już i tak prawie codzień głowa mię boli, wszyscyście się doprawdy uwzięli na mnie! muszę sobie odpocząć, nauka nie ucieknie.

— Tak, ale czas ucieknie i potem nie zdążysz zrobić wszystkiego.

— Nie obawiaj się o to.

— Rób sobie więc, jak ci się podoba — powiedziałam, co uważałam za konieczne — chcesz, słuchaj — nie -- to nie.

Anielcia wzruszyła ramionami, zasiadła jeszcze wygodniej przy oknie i wcale nie myślała o nauce.

Tymczasem starsza siostra dość długo pisała, potem z książką w ręku chodziła po pokoju, ucząc się półgłosem i dopiero gdy się już zupełnie zciemniło, poukładała wszystko na stoliku i wyszła z pokoju.

W teje chwili rozległ się w przedpokoju dzwonek i weszła Ciocia, a przywitawszy się z Mamą, rzekła z pośpiechem:

— Czy dziewczynki mogłyby pójść dziś ze mną do teatru? dają bardzo ładną sztukę, której i ja nie znam, a która bardzo ma być dla nich właściwą.

— Nie wiem, czy już przygotowały lekcje na jutro, ale zaraz się o to zapytam. Anielciu! Jadziu! — zawołała Mama głośniejsz nieco — chodźcie tu na chwilkę, Ciocia przyszła.

Dziewczynki wbiegły do sali, każda innemi drzwiami i z radością powitały Ciocię.

— Moje dziewczynki, umiecie już lekcje, czy nie? chciałybyś was zabrać do teatru.

Anielcia mocno się zarumieniła i nic nie odpowiedziała, Jadzia zaś, spojrzawszy na siostrę, odrzekła:

— Bardzo dużo lekcyj mamy na jutro i dlatego nie umiemy jeszcze wszystkiego; dziękujemy drogiej Cioteczce za dobre chęci, ale dziś nie możemy korzystać z jej dobroci, nauka przedewszystkiem.

— Słusznie mówisz, moje dziecię; ale jaka też to szkoda, że żadna z was nie może mi towarzyszyć.

— Cioteczko kochana — odezwała się Anielcia — ja rzeczywiście nie umiem lekcji, bom się wcale jeszcze nie brała do nauki, ale wiem, że Jadzia wszystko już odrobiła.

Ciocia ze zdziwieniem popatrzyła na obie dziewczynki, a zwracając się do Jadzi, rzekła:

— Cóż ty na to, Jadwiniu?

— Już muszę się przyznać Cioteczce, skoro mnie Anielcia wydała, że umiem wszystkie lekcje; lecz wiem, że jej będzie bardzo przykro, jeśli pójdę z Ciocią do teatru, a ona przez ten czas nad książką siedzieć będzie musiała.

— To dla czegoż wcześniej nie wzięła się do nauki? — odezwała się Mama — zawsze pierwój powinna być nauka, a dopiero odpoczynek i zabawa.

— To też, żebym ja była wiedziała, że Ciocia przyjdzie po nas, to już oddawna byłabym umiała wszystkie lekcje — ze smutkiem powiedziała Anielcia.

— Widzisz więc, jak to źle odkładać naukę, a ty masz zawsze ten zwyczaj; niech się teraz Jadwisia prędko przebiecze, aby mogła iść z Ciocią do teatru; a ty, moja panno, zabieraj się do lekcji; może też będzie to dla ciebie nauką, aby nigdy nie ociągać się z wypełnianiem obowiązków; cóż, postarasz się o to na przyszłość?

— A co za to będzie? — zapytała dziewczynka z filuterynym uśmiechem.

— Wewnętrzne zadowolenie, że sumiennie spełniasz obowiązki i weselsza po pracy zabawa.

— A może niedługo i bilet do teatru — dorzuciła Ciocia.

— O! tak, to rozumiem! — zawołała dziewczynka — a ucałowawszy ręce Mamy i Cioci, pobiegła do swego pokoiku i z całym zapalem zabrała się do przygotowania lekcji na dzień następny.

*Hclena Bojarska.*

## WDZIĘCZNY GÓRALCZYK.

— Garnki drutować! garnki drutować! — dało się słyszeć wołanie na podwórku jednej z kamienic warszawskich, i ukazał się jednocześnie mały chłopczyna w ubraniu góral-skim, trzymający w ręku: druty, pułapki, koszyki i patrzył naokoło w okna. Wtém otworzyło się okno na pierwszym piętrze i wyjrzała z niego główka małej dziewczynki, która zawołała:

— Chodźno tu, druciarczyku, do kuchni, jest dla ciebie robota.

Chłopiec poskoczył żywo, ale stanąwszy na progu czystej i porządnej kuchni, zatrzymał się, nie śmiejąc postąpić dalej.

— Nie bój się, druciarzu — rzekła uprzejmie kucharka Małgosia, siadź tu przy stole, a ja ci dam do zdrutowania półmisek, com go przypadkiem stłukła.

Chłopiec wziął się do pracy tak pilnie, że w kwadrans półmisek był zdrutowany.

— Ho, ho, nie myślałam, że taki z ciebie majster — rzekła Małgosia, kręcąc głową z podziwem — i staryby tak nie potrafił. Ale czekaj no, w nagrodę dam ci trochę zupy ciepłej, co z obiadu została.

Przy tych słowach postawiła przed druciarzem gorącą strawę, na którą on rzucił się chciwie. W tej chwili właśnie weszła do kuchni panienska i podając chłopcu pieniądze, rzekła z uśmiechem:

— Bardzo ci się jeść chce, jak widzę?

— O tak, panienko, od tygodnia nic ciepłego w ustach nie miałem — odparł chłopak.

— A z daleka idziesz? — spytała Jadzia, było to imię panienki.

— O, z daleka, od Tatrów, ale już niezadługo wracam, bo zebrałem dosyć pieniędzy, które oddałem starszym góralom, tylko nie mam jeszcze gościńca dla Matusi i dwóch siostrzy-czek — rzekł chłopiec.

— A cóżbyś ty chciał im zanieść? — spytała Jadzia.

— Jaki kwiatek, albo wstążeczkę; ale już pewno nie dla nich mieć nie będę, bo muszę wracać do domu — dodał smutnie.

— Poczekaj no troszeczkę — zawołała Jadzia i pobiegła do pokoju, po chwili wróciła i kładąc przed chłopcem czerwoną wstążkę i niebieski kwiatek, rzekła: — Oto masz dla twych sióstr, a dla Matki pierścioneł z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej.

— O dziękuję dobrej panience, już dziś mogę wrócić do domu, a jak one się ucieszą z gościńców!

To mówiąc, chłopiec pocałował rękę Jadzi, i powiedział: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, wyszedł na podwórze, patrząc ciągle z wdzięcznością w okna panienki.

— Ach, Mamusiu, tak małym kosztem uszczęśliwiłam tego górala i taka jestem kontenta, jakby mnie największa przyjemność spotkała — rzekła Jadzia do swój Matki.

— Bo też, kochane dziecko — odparła ta ostatnia — czyniąc przyjemność innym, sobie wyświadcza się największą.

Upłynęło lat kilka, i Jadzia z małej dziewczynki wyrosła na sporą panienkę i o przygodzie z góralem zupełnie zapomniała, dla tego też bardzo się zdziwiła, gdy pewnego razu służąca weszła mówiąc, że jakiś chłopak chce się widzieć z panienką.

— Kto to może być? — rzekła Jadzia i pobiegła do kuchni, gdzie stał znajomy nam góral i trzymał w ręku koszy-czek napełniony ślicznemi szarotkami.

— Panienska mnie nie poznaje? — rzekł, całując rękę Jadzi.

— Ach, to ten góralczyk, który był kilka lat temu u nas. Cóż, już nie drutujesz? — spytała.

— Nie, panienko — odparł chłopiec — Bóg nam dopomógł i już nie potrzebuję chodzić po mieście, ale nie wiedziałem, jak się panience za jej dobroć odwdziaczyć, więc uplotłem koszyczek i zebrałem bukiet szarotek, naszych górskich kwiatów, co je tak wszystkie panie lubią, z prośbą, żeby ten dar panienska przyjęła.

Jadzia bukietek wzięła i postawiła w swoim pokoju te rzadkie kwiaty, na pamiątkę wdzięczności górala.

*Celina*

### Zagadka (Azet).

Niema łożu, choć ma nicy,  
Zapalona, jasno świeci,  
Przez pół nazwa literata,  
Lecz z galicyjskiego świata;  
Dziecko zwykło do swój mowy,  
Drugiej użyć znów połowy.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 20-go.

#### Zadania konikowego:

Choć ubogo, lecz chędogo.

### Skrzynka do listów.

Córka Jadźwingów z Podlasia nadesłała dwie dobre szarady, ale zapomniała o rozwiązaniach. Na ten raz odgadnięcie nie było trudne, na przyszłość jednak nie radzimy się spuszczać na domyślność redakcyi.

Żóraw nie podał adresu, ani nazwiska prawdziwego, nie wiemy także, czy prenumeruje Pismo w redakcyi, czy w jakiej księgarni; jakże potrafimy wytłómaczyć, dlaczego je później od innych odbiera? Czy to czasem nie Żóraw dawniej Bocianem się podpisywał? Wspomina bowiem o odpowiedzi, ale jakiej, trudno odgadnąć, jeżeli Żóraw ma zwyczaj często zmieniać pseudonimy.

Motylek z nad Sekwany niech tylko troszeczkę ma cierpliwości, a niezadługo ujrzy zagadki swoje wydrukowane.

Kuropatwie z nad Ikopetiu i braciszkom jej, Karolkowi i Pawelkowi, serdecznie dziękujemy za rublę przysłanego dla biednej Maniusi.

Maryni B. prosimy bardzo o przysłanie opisu podróży. Nie pojmujemy, jakim sposobem mógł zaginąć na poczcie koniec Findelkinda, wysłaliśmy go powtórnie i pewnie już teraz doszedł. Czy korespondentka nasza nie zna czasem pewnej panienki, mieszkającej w tamtych stronach, która lubi bardzo konną jazdę, ale jest troszkę nieostrożna i niedawno podobno spadła z konia? Powinnaby ta panienska pamiętać, że o ile *odwaga* jest piękną cnotą, o tyle znów *nerozwaga* wcale na pochwałę nie zasługuje. Mamy nadzieję, że ta dzielna amazonka przestrogę naszą weźmie do serca i potrafi odtąd być odważną i rozważną zarazem.

Gołąbka z nad Warszawy pisze gładko i poprawnie, a jednak „Dzieje Konia” nie mogą być drukowane, bo w takich opowiadaniach powinna być zawsze myśl jakaś pouczająca, inaczej nie mają żadnego celu. Niech Gołąbka nie zraża się tym pierwszym niepowodzeniem, lecz na przyszłość pamięta, że w każdym utworze literackim, styl jest tylko ozdobą, a głównym zadaniem myśl przewodnia. W utworach przeznaczonych dla młodzieży, myśl ta powinna być bardzo jasna i wyraźnie określona.

Sarence, która tak gorąco pragnie ujrzeć komedyjkę swoje wydrukowaną, donosimy... że życzenie jej będzie spełnione.

K. W. B. Pomysł piękny, ale niedostatecznie rozwinięty, wszystko tak szybko się urywa, że wygląda na coś niedokończonego. Nie zniechęcając wcale autorki, radzimy jej szczerze tę próbę pozostawić w tece, i dalej wytrwale pracować, a niezawodnie z czasem zdobędzie się na coś lepszego.

P. Odrowążowi. Rękopism jest do zwrotu w redakcyi.

Jaskółka z nad Granicy niepotrzebnie tak wzięła do serca omyłkę mimowolną, tak łatwą do naprawienia, już zresztą naprawioną. Liścik pisany przed dwoma miesiącami musiał zaginąć na poczcie, bo nie mamy najmniejszego wyobrażenia o prośbie, którą zawierał i z wielką ciekawością czekamy rozwiązania tej zagadki w następnym liście.

Do Chmurki pisze za pośrednictwem naszego Pisma Jaskółka z nad Granicy: „Stokrotnie dziękuję drogiej Chmurce za pozdrowienie. Gdyby mnie przyroda, jako jaskółkę, obdarzyła skrzydełkami i upierzeniem, z pewnością wleciałabym co prędzej pod obłoki, do kochanej Chmurki. Tymczasem muszę się zadowolnić przesłaniem serdecznych pozdrowień. Donieś mi, kochana Chmurko, czy mieszkasz na wsi, czy w mieście? Czy masz rodzeństwo, jak Ci na imię, ile masz lat i czy nie znudzisz się mą ciekawością?”

Różycze z Odesy najserdeczniejsze dzięki składamy za dar dla biednej Maniusi przysłany. Piękny ten przykład powinnyby naśladować wszystkie dzieci i prosić rodziców, aby im pozwalali podobny użytek robić z przynoszonych sukienek. My zawsze chętnie w tym pośredniczyć będziemy.

Bławatka z nad Horynia wielką nam zawsze sprawia przyjemność kochanemi swemi liścikami i serdecznie się cieszymy nadzieją uściskania jej niezadługo. Dziękujemy za szczegóły o Działuniach i za dobrą wiadomość, że Bóg pocieszył siostrzyczkę w tak wielkim smutku. Rublę oddaliśmy biednej rodzinie Maniusi, polecając modlitwom jej dobroczynną dziewczynkę.

Jan Prosper K. nadesłał dwie zagadki, z tych jednak pierwsza tylko może być wydrukowana, w drugiej znaleźliśmy omyłkę, bo *cien* jest rodzaju męskiego, nie można więc powiedzieć w drugim przypadku tej „cieni”.

Rybka wygląda już następnego zadania konkursowego, gdy i to jeszcze nie zaraz ma być rozstrzygnięte. Trzebaż mieć troszkę cierpliwości.

## Zakład Naukowy Żeński

Jadwigi Herman,

ŁĄCZNIE Z PENSYONATEM

## Teresy Jadwigi Papi

przyjmuje uczennice stałe i przychodnie.

Wiadomość przy ulicy Wielkiej Nr. 16.

### OGŁOSZENIE.

Młody chłopiec czternastoletni, starannie wychowany, poszukuje towarzysza na wyjazd do Krynicy w porze wakacyjnej. Gdyby który z panów nauczycieli lub ojców rodziny chciał zabrać go z sobą, zapewniając mu opiekę troskliwą, raczy zgłosić się listownie do naszej redakcyi, podając adres i warunki.